

DIALOG NA JEDNĄ OSOBĘ

Tę książkę – książeczkę zaledwie – otrzymałem pocztą. Może bywa ona także w księgarniach, choć raczej wątpliwe. W niebieskiej okładce, jak gdyby spadła z nieba, zupełnie jak list od już zmarłego autora. Zmarłego to może zbyt wiele powiedziane. Umierają tylko ludzie realni, a Andrzej Suryn był – w najlepszym razie – tylko półmaterialny. Żył, to prawda, ale nie tyle istniał, co leciał. Łatwo było pomylić go z czelkowskimi wcieleniem ptaka, czasem pozwalającego nawet podejść blisko, lecącego skądś dokądś, przysiadającego tu i tam. Tacy nie umierają, tylko odlatują.

Też chyba za dużo powiedziane, że autora. Bo wcale tej książeczki nie napisał. Tworzył ją, nagrywając na taśmę wybrane fragmenty swoich dzienników i notatek. Dla powstałego w ten sposób galimatiasu wierszy dłuższych i krótszych, szkiców zaledwie, cytatów, wymyślił nawet tytuł. Ale do pisania się nie zapalił. Nigdy szczególnie nie zależało mu na tym. Pisał, owszem, ale nie książki. Czasami myślę sobie, że może po prostu lękał się – i słusznie – tych wszystkich mrocznych procedur: recenzje, wydawcy, redaktorzy, korektorzy, drukarnie i promocje. Zostawiał te sprawy na boku, na później, jak wypada ptakowi. I leciał dalej. W ogóle zostaloby po nim niewiele, gdyby nie miał wyjątkowego szczęścia

do przyjaciół. Dopiero, gdy już odleciał na dobre, ukazał się pierwszy pełniejszy zbiór jego utworów – *Światło* (Tikkun, Warszawa 1999), ciepło, jeśli nie gorąco, skwitowany przez Adriań Szymańską i Piotra Matywieckiego, a później wszystkich, którzy nań trafili. A wcześniej Suryn publikował niewiele. Głównie w pokątnych zbiorach, fundowanych i kolportowanych przez Waldemara Czechowskiego. Tak powstawały bibliofilskie rarytasy, które nie pokazywały jednak Suryna w całości. Nie wspominam już o dających się na palcach policzyć publikacjach w pismach.

Ale czas już najwyższy powiedzieć, co miałem na myśli w pierwszym zdaniu, wspominając niebieską okładkę. Otóż pod jego nazwiskiem na 64 stronkach wpisane w Bibliotekę Pisarzy Warmii i Mazur olsztyńskiego oddziału SPP jako tom VII, mam przed sobą *Dialogi z Tomaszem*. Wysłuchane i spisane przez Wacława Sobaszka oraz sprawdzone i porównane z oryginałem przez Erdmuta Sobaszkę. Natomiast sam Andrzej Suryn czy w ogóle wyobrażał sobie, że słowa złapane w pętlę taśmy magnetofonowej kiedykolwiek przemienią się w druk? Możliwe. Zapewne Sobaszek czy Czechowski wiedzą lepiej. Bo ja tylko tyle, że negocjacje Suryna z wydawcami były tradycyjnie bezowocne, a w końcu zniechęcające. Poza tym wydaje mi się, że miał poczucie odrębności mowy i pisma. Przed mikrofonem jego dykcja wspiwała się na poziom aktorstwa. Suryn grał siebie. A może przeciwnie – był grany. Wyczuli to wydawcy *Światła*, dołączając do tomu płyty kompaktową z dźwiękowym teatrem wierszy, ubarwionym pieśniami do jego tekstów, które śpiewał Stanisław Sojka. Ale w tym wypadku czytał niedbale, bez pedantycznej artykulacji, zostawiając niełatwe zadanie tym, którzy mieli wysłuchać i zapisać to czarno na białym.

Trzeba tu jeszcze zaznaczyć, że Suryn nie był żadnym pisarzem Warmii i Mazur. To, że dobrze się tam czuł, pomiędzy Teatrem Węgarajty a Pulkami, nie zmienia faktu, że jego geografia zataczała promień o wiele szerszy. Niedawno moja przyjaciółka ze Szklarskiej

Poręby odnalazła notes adresowy z roku 1993. Andrzej odwiedził ją wtedy i zapisał tam swoich pięć lub sześć adresów oraz kilka innych, pod którymi mógł być uchwytany. Nieustająco wędrował, poszukiwał, wychodził naprzeciw. Jego duch leciał, kędy chciał. Zostawiał za sobą przyjaciół rękopisy, rysunki, nagrania, wspomnienia. Aranżował tu i tam jakieś zdarzenia spirytualno-artystyczne, po czym zniknął. Matecznikiem było mu miasto o natarczywej nazwie – Krzyż, a dopiero na przeciwległym biegunie jego osobistego kosmosu znajdowały się warmińskie wioski, z którymi był tak głęboko zaprzyjaźniony. Więc też nie trudno zrozumieć, że go tam chciał mieć za swego. Kto by zresztą nie chciał.

Jest wczesny wieczór. Siedzę na ławce przy zadbanym skwerze w obcym mieście. Wokół natarczywie pachną akacje i lipy. Mam za sobą ponowną lekturę *Dialogów z Tomaszem* Suryna-Sobaszka. Jeśli tu dopisuję samowolnie drugiego autora, to przede wszystkim w dowód uznania dla czułości, z jaką się wsłuchiwał w jego głos i sensy. Dla trafności, z jaką go przełożył na język druku. Gdyby Andrzej był kolekcjonerem sukcesów, rezultat na pewno sprawiłby mu radość. Został wysłuchany, zrozumiany i zachowany dla innych.

Jest coraz ciemniej, za chwilę nie będę już widział kartki i słów, które na niej notuję. Więc zawczasu zapisuję to, na samą myśl o czym już mam przeczucie herezji. Chciałbym bowiem to niewielkie dzieło nazwać wielkim. A nawet więcej. Chciałbym wyrazić przekonanie, że jest to najlepsza resublimacja duchowych aspiracji w literaturze ostatnich lat. Udało się Sobaszkowi wydobyć z gawędy Suryna coś, co czyni go bliższym mi niż Wielki Stachura. Nie jestem zwolennikiem mierzenia poetów jednego drugim. Jestem przeciwny porównywaniu, zrównywaniu, wywyższaniu. Ale zważywszy wspólną im obu nieobliczalność charakteru, a także i to, że ktoś już ich przede mną zestawiał, nie mogę się powstrzymać. I muszę to powiedzieć wyraźnie: zostawcie na chwilę swój kult, wyznawcy *Siekierzady*. Przesuńcie wzrok na Suryna. Możliwe, że wasze piękne błędnie nabędzie brakującego wymiaru prawdy praw-

dziwszej niż tamta, tylko werbalna, z lekką zawianą i rozśpiewana tragicznym fałszem. Oto również *Tabula rasa*. Tyle że bardziej *rasa*, mniej zapisana, skromniejsza w słowach, ostrożniejsza z egzaltacjami. Ale nie mniej uskrzydlaająca niż tamta; w tym samym stopniu tragiczna, co słaba. Z pewnością czystsza. Staranniej cyzelowana. Bez tej zgrywy junacko-zawadiacko-wódczanej.

Nieszczęśliwi samotnicy – tak za jednym zamachem definiuję obu. Stachurę i Suryna, z lekką niepewnością co do słowa „nieszczęśliwi” – tylko z tego powodu, że rozdzieliła ich przepaść wieku (chyba piętnaście lat różnicy!), nie mogli się spotkać przy jednym ognisku lub choćby tylko w tym samym bufecie na jakimś dworcu autobusowym, żeby porównać swoje widzenia Ostateczności, która ostatecznie przyjęła łaskawie obu. Nie spotkali się więc, o ile wiem, choć teoretycznie byłoby to możliwe. Gdyby jednak doszło do rozmowy między nimi, już dobrze wiemy z niezliczonych wydań, co mógłby powiedzieć jeden. Co powiedziałby Suryn, posłuchajmy:

„Ktoś nam ukradł Boga i naszczał do piwa. Wyciągnął telewizory z kapelusza, ulepszył chleb. Tłumaczy wiatr rok naprzód. Pusto w oczach, pusto w sercu, pełno zaś dokoła wiatru. Hej, bogowie! Ja was przeproszam i zapraszam, wróćcie! A wraz z wami smaki, dotyk, widzenie. Jeśli można, to bez końca świata, proszę” (*Dialogi z Tomaszem*, s. 57).

Tomasz, ten od apokryficznej i nieco odszepieczonej *Ewangelii Tomasza*, jest w tym przypadku najbliższym rozmówcą Suryna. Tak bliskim, że ma się wrażenie, iż jest surynowskim *alter ego*. Ale nawet bez pomocnej obecności Tomasza w zapisach Suryna i tak toczy się dialog pytań i odpowiedzi. Umieć, a przede wszystkim chcieć się ze sobą samym porozumieć, to wystarcza za cały sens życia. Bo to jest bezmiernie ważne. Być może najważniejsze. I o tym jest właśnie ta błękitna książeczka, której autor nie napisał.

Henryk Waniek